

ROLA

ROK IV.
Kraków, dn. 17 Kwietnia 1910 r.
Nr. 16.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli". Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Numer pojedynczy 10 halerzy.

BAŚŃ.

Snuje się baśń — tęczowa baśń! Są w niej kwiaty, jak lilia wonne, jak tulipan barwne, jak róża piękne!

Są w niej zaczarowane marzenia — zamki, nigdy, mimo starań i wysiłków, niezdobyte; są uśpione marzenia - królewny, do których nam tylko wzdychać i tęskny wzrok podnosić wolno, ale dosięgnąć ich i z zaczarowania wybawić niewolno!

Są w niej walki i trudy, napozór niepokonane, a jednak przebyte i rzeczywiste; są mozoły, jak głaz ogromne, a jednak siłą i mocą zwalczone.

Snuje się baśń — tęczowa baśń!

A w baśni tej raz łzy jak strumień płyną i choć napozór tylko kroplami łez są, lecz w rzeczywistości palą jak ogień; pieką jak rozpalone żelazo. To znów z łez wykwita uśmiech jasny, który zdaje się być tylko niemym wyrazem twarzy, podczas gdy on w sobie całe niebo rozkoszy mieści.

I płynie tęczowa baśń raz spokojnie i miarowo, a kiedyindziej szaleje rozhukana, jak huragan, łamie wszystko po drodze i rzuca w proch precz przed sobą na wieki!

Snuje się tęczowa baśń lotem błyskawicy. Zaledwo początek zdołaliśmy pochwycić, zaledwie treść jej poczęliśmy rozumieć, a tu już jej kres dochodzi, koniec się zbliża. Zdziwieni powiadamy:

— Jakto? Toż tej pięknej baśni już kres nadchodzi? Szkoda! taka piękna była, taka promienna, a tylko ją niekiedy łzy boleści, jak drogocenne perły, przeplatały, i my mamy jej wątek przerywać?

Lecz kres wszystkiemu przyjść musi! I baśń, choćby najpiękniejsza, skończyć się musi i ledz w zapomnienia fali. Różnica tylko w czasie.

Snuje się baśń — tęczowa baśń — baśń życia ludzkiego!...

I żeby ono było, nie wiem jak przykre i twarde, to nie obeszło się bez barwnych kwiatów szczęścia, nie obeszło się bez zaczarowanych królewien-marzeń, nie obeszło się bez celów i pożądań, niedoścignionych, jak zaklęte zamczyska!

Gdy okiem rzucimy wstecz poza siebie, w dni dawno minione, odgrzebiemy tam w zapomnienia pyle dni tak jasne, chwile tak błogie, że na samo ich wspomnienie serce żywiej uderzać zaczyna, uśmiech wykwita na licach, a po całem ciele błogość i zadowolenie się rozlewa.

I choćby większość tej życiowej baśni była posępna i czarna, jak noc pochmurna a bezgwiazdna, to jedno wspomnienie takie rozjaśni ją w dzień biały.

A życie płynie i płynie, jak baśń tęczowa!

Kto z tej baśni życiowej pocznie odgrzebywać i wybierać same tylko czarne chwile, to życie to jeszcze bardziej zaciemni i uczyni je męczarnią i ciężarem. Ale kto na pamięć swoją będzie przywodził uśmiechy i błyskawice szczęścia, to szarzyznę życiową umili, ukwieci, rozjaśni ją i uczyni miłą a ponętną!

Życie to baśń, tęczowa baśń, przepiękna, zaczarowana baśń. Ale słuchać nam jej nie z uprzedzeniem, patrzeć na nią nie przez czarne okulary, ale z wiarą i przeświadczeniem, że to, co przebywamy, na co patrzymy, to piękne jest i wzniosłe!

Wszak i z najpiękniejszej księgi, gdybyśmy powyrywali tylko pojedyncze słowa, moglibyśmy z nich utworzyć coś równie strasznego jak piekło samo!

Ale i z najstraszniejszej księgi zdołalibyśmy przecież wybrać pewien zasób słów, z których możnaby utworzyć wspaniały hymn niebiański.

Życie, to baśń i piękna baśń, gdy się z niej wybiera uśmiechy szczęścia i błyski radości, a nie łzy i rozpacze; gdy się odnawia pragnienia i marzenia napełniające szczęściem i weselem, a nie chwile niosące ból i troskę.

Ale jakże ta baśń życiowa prędko do końca dobiega!

Dopiero młodość, szczęście i marzenia; dopiero zamiary, cele i meta życia wytknięte — różowa baśń! Aż tu praca, starania i mozoły; praca i zawody; rwanie się ku górze a obłokom i spadanie ku ziemi, ku rzeczywistości. — Zdobywanie zaklętych zamków i uśpionych królewien!

Ale baśń snuje się dalej! Włos bieleje, twarz marszczy się, grzbiet w kabłąk się zgina, ale te marzenia, te pragnienia, te pożądania nieuchwytnego szczęścia zawsze jednakowe, zawsze młodzieńcze, zawsze silne!

Posiwiały włos, zamglony wzrok i tyle — tyle innych zwiastunów oznajmiają, że ostatni rozdział pięknej baśni już się rozpoczął i wnet się zakończy.

Krzyżacy na Litwie.

XIX. DAWNA STOLICA.

Opuszczony zamek. — Święty dąb litewski. — Niepokój Lezdejki o córkę. — Opowiadanie o napadzie na Wilno. — Powrót wygnańców. — Radość Lezdejki. — Choroba Akseny.

Kiernów, sławna niegdyś książąt litewskich stolica, mało już w sobie dochowywała śladów przeszłej świetności i prawie niczem nie mogła dowodzić, że przed stu laty wielki Gedymin miał w niej ulubione mieszkanie. Smutne i zarosłe zamczysko, obrane z ozdób i broni, służyło za przytułek wędrownych ludzi lub na noclegi przejeżdżających panów i kupców.

Zamek kiernowski, niegdyś wielki, piękny i zamożny, codzień się zmniejszał, posyłając ustawnie z baszt i wież swoich smutne ułomki na brzegi Wilii, nad którą długie przepanował lata! Pozbawiony swych ozdób, pusty i zaniedbany, z całej swojej wielkości imię tylko zatrzymał i ledwie nędzną wioską mógł być nazwany.

To smutne i razem rozkoszne ustronie obrawszy Lezdejko za pobyt, w niem już od lat kilkunastu dnie spokojnie pędził. Po długiem na Prusach tułactwie sprowadzony do Litwy, mógł podług praw godności swojej zamieszkać w stolicy zamek księcia i równą mu świetnością dom swój otoczyć; ale cichy, przyzwyczajony do szumu drzew i ptaków śpiewu śród gajów świętych, gdzie młodość na usłudze bogów przepędził, Kiernowa gruzy i jego spokojność przeniósł nad wrzawę nowej stolicy. A jako czuły bogacz, co sierocie dobrego rodu daje przytułek, tak on staraniem i nakładem swoim dźwigał do upadku nachylone mury, usiłując zachować od zniszczenia te drogie wieku Gedymina pamiątki. Zająwszy najmniej spustoszałą część zamku, kazał ją wyporządzić i mieszkalną uczynił. Obrał w blizkości dąb najpiękniejszy i na wzór niegdyś swych poprzedników w Romowie, poświęcił go na przytułek troistego bóstwa*) które uniósł przed zagładą Krzyżaków. Sam w ranki i wieczory z drużyną czynił modły i składał ofiary.

Dzieliła często te pobożne zajęcia córka jego Pojata, którą kochał, jak jedno z bóstw swoich. — Ile tylko razy przyszło mu z nią rozstać się choć na czas najkrótszy, gniewał się na wszystkie potrzeby i związki, które ją zabierały; lecz kiedy przez uchodzący naród wieść go doszła klęski stolicy i okrucieństwa Troczanów, trwoga jego i niespokojność doszły najwyższego stopnia. Chciał natychmiast jechać do Wilna, odzyskać Pojatę lub umrzeć z nią razem; lecz mu niedopuścił tej drogi dbały o jego zdrowie sługa i sam się niezwłocznie tam udał.

Właśnie tego wieczora, siedząc, smutny starzec w swem krześle rozmyślał o przygodach, które mogły spotkać Pojatę; blade światło lampy posępne dokoła rozwodziło cienie; kapłani już spoczywali w swych izdebkach i nikt się nie znajdował przy starcu, prócz niewielkiego chłopaka, który u drzwi, czekał na rozkazy pana.

— Ruńko — odezwał się starzec po chwili — czy jeszcze nasz Ciwun*) nie wrócił?

— Gdzieby mógł wrócić tak prędko, alboż to Wilno za górą? Słońce już było dobrze na niebie, kiedy wyjechał; prawda, wziął najlepszego ze stajni stępaka, ale też to pięć mil opętanych.

— Źle m zrobił, żem go wysłał. — Może go gdzie w drodze zatrzymano — mówił, powstając, starzec. — Mnie samemu należało tam jechać. Kto prędzej, niż ojciec, może córce dać pomoc? Ruńko, każ mi zaprządz konie.

— Dobrze panie; tylko, że noc ciemna! Jużci przecie niktby nie śmiał sługę Krywekrywejty zatrzymać, a gdy się co złego z córką pańską stało, dusza jej wamby się najpierw opowiedziała; albo to Kiejstut nie zna naszej panny? My jemu przecie nic złego nie uczynili.

— Mój kochany! w czasie wojny wszyscy są winni; nie słyszałeś też, co opowiadają ludzie o napaści Troczanów na zamki?

— Co tam słyszę było, aż włosy na głowie powstają. Rybak z Kiernowa był wczoraj w Wilnie a choć i płotki nie sprzedał, kupę przywiózł pieniędzy, tak mu uciekający z życiem panowie płacili za przewiezienie na drugą stronę. Otóż od nich słyszał, że naprzód Kiejstut sto głodnych niedźwiedzi puścił na Wilno, które ludzi szarpały w kawałki.

— Temu — rzekł starzec — możesz bezpiecznie nie wierzyć. Ale, co więcej słyszałeś?

— Tak jest, nie wierzyć! Nasza stara Danuta długo na Trockim zamku służyła i zna Kiejstuta tak dobrze, jak ja znam was, panie, otóż opowiadała, że on trzyma zawsze na stajni niedźwiedzie. Kilka dni temu widziała wieczorem krwią zaszłe niebo nad Wilnem i zaraz powiedziała, że panna licho wie po co tam pojechała na gody. A pozawczoraj w nocy cóż to był za tartas na pustem zamczysku! Zdało się, że mury do reszty obalą się.

— Bogowie — rzekł starzec — naprzód zawsze przestrzegają ludzi, żeby się upamiętali. Biada temu, kto ich napomnień nie słucha! Jeśli ci się mój miły, zdarzy w twem życiu spostrzedz jakie nadzwyczajne zjawisko, spojrzyj zawsze po sobie, czy nie czynisz co złego i popraw się. — A nie mówiłże co rybak o naszym księciu i jego familii! Mów, moje dziecko, mów śmiało!

— I jakże jeszcze mówili! Kiejstut, wpadłszy jak lew do miasta, naprzód słyszę pojmał księcia z matką i, latając z mieczem po zamkach, wołał nieustannie: Wojdyłę! Wojdyłę mi dajcie! Kto mi go żywcem dostawi, zrobię go panem i dam mu trzy zamki. Ale Wojdyło dobrze się schował. Potem słyszę w świątyni był wielki rabunek.

— Co za wściekłość szalona! Otóż są skutki samowolnych działań i ślepej w doradcach ufności. Jeżeli księżnę Olgierdową pojmano, jeżeli jej nie

---

*) Sławny w starożytności litewskiej dąb bogów był najpiękniejszem drzewem lasów Romowa; konary jego na trzy rozdzielały się strony, tak zaś miał być wielkim, że średnica pnia jego do sześciu dochodziła łokci. Wiara Litwinów wieczną mu przyznawała zieloność. Osłoniony drogiemi zapony, które na sześć łokci wznosiły się dokoła, w trojakiem wydrążeniu swych boków mieścił trzy różne bóstwa, to jest w pierwszem posąg Perkuna, boga piorunów i ognia; w drugiem chował pięknej urody młodzieńca Potrymba, boga pierwszych potrzeb ludzkich, którego miłe oblicze chęć uprzedzającą oznaczać się zdawało. W trzeciem wydrążeniu ukrywał się straszliwy Pekolo, bóg zmarłych, piekła i nędzy. Twarz jego posępna, blada i złośliwa, broda czarna, kudłata, głowa białą płachtą związana, a oczy w górę wzniesione, strachem przenikały patrzących. U nóg jego leżała czaszka człecza i bydlęca; na cześć jego chowano w garnkach snopami pokrytych karmione węże, które codzień mlekiem skrapiano. Za te zasłony nie wolno było wchodzić nikomu, prócz Krywekrywejcie i ofiarnikom. Czasem tylko pobożnym podnoszono je zdaleka. Bolesław Chrobry w czasie swej wyprawy na Prusach ściąć ten dąb kazał, później Krzyżacy resztę czci pogańskiej wytępili.

*) Ciwunem zwał się na Litwie starszy sługa w każdym dworze.

przebaczono, to już po mojej Pojacie. O ja nieuważny! czy trzeba mi było w ten ją dzień posyłać? O oczy moje! oczy! Zawołać mi zaraz rybaka. — Ale na cóż się to wszystko przyda? Konie, konie zaprządz, natychmiast! Słyszysz! Konie mi zaprządz, muszę tam jechać.

Nie mógł dłużej Runko woli pańskiej opierać się, kazał pojazdowi zajechać i gdy wszedł napowrót, znalazł starca szczerze zabierającego się w drogę. Właśnie na trzask bicza miał już wychodzić, gdy się pomału drzwi otworzyły i nasi wygnańcy ukazali się w izbie.

— Kto tam? — zapytał niespokojny Lezdejko.

— Jacyś wieśniacy z tłomokiem — odpowiedział chłopak — jest ich troje, dwie niewiasty i jeden mężczyzna.

— Witajcie moi mili! — odezwał się starzec, podając im rękę — czegóż to żądacie?

— Uchodzimy z Wilna przed srogością Kiejstuta! — odpowiedziała Aksena — straciwszy wszystko szukamy litości.

-- Dobrze was bogowie zawiedli, znajdziecie u mnie wszystko; wszystko, co tylko mieć mogę dla siebie, będzie wprzód dla was, siadajcie więc i powiedzcie mi. nie słyszeliście co o mojej córce Pojacie? Była ona przy księżnej na dolnym zamku. Nie lękajcie się, jeśli o niej co wiecie, mówcie śmiało, ja wam zawsze równie dobrą gościnność uczynię.

— O mój ojcze! — rzucając się w ręce starca, zawołała Pojata. — Tu jestem i odtąd nie chcę już nigdy rozłączyć się z tobą!

Starzec ze łzami ściskał ukochane dziecię, wznosił ręce ku niebu i znowu ją przyciskał do piersi. Po pierwszych chwilach uniesienia, Pojata przedstawiła ojcu siostrę księcia i zbawcę swego, Trojdana; opowiedziała nieszczęście Wilna, srogość najezdników i ujścia swojego szczegóły. Słuchał jej starzec na pół przejęty zgrozą i uradowaniem, cieszył strapioną córkę Olgierda i wdzięczność młodzieńcowi oświadczał.

— Dalej, Ruńko! — rzekł do chłopaka — skocz do czeladzi, niechaj trzy łaźnie będą gotowe, niech dwie izby wyporządzą dla gości, a córce mojej niechaj przy mnie pościelą. Powiedz Danucie, żeby czystą nagotowała bieliznę, a nadewszystko, żeby jak najlepszą sporządziła wieczerzę. Trzeba dobrze oświetlić izbę, postawić dzban kowieńskiego lipcu i zaprosić na ucztę kapłanów; niech i pani Ciwunowa przyjdzie cieszyć się z nami, bo w moim domu nie było jeszcze takiego wesela.

Z większą się zapewne ochotą zajął zwinny Ruńko rozporządzeniem zaleceń przyjęcia gości, niż przed chwilą wyjazdem pana. Podróżni tymczasem, otoczywszy starca, kończyli opowiadanie dziwnych swej wędrówki wypadków. Uwiadomiony Lezdejko o przysłudze Sławeńki, niezmiernie żałował, że mu nie mógł wdzięczności swej oświadczyć. Wkrótce ukazali się trzej kapłani, witający przychodniów, winszując oraz ojcu oglądania w dobrem zdrowiu córki. Przybycie Ciwunowej ponowiło jej radość. Była to żona zawiadowcy domu Lezdejki, dobra i bogobojna niewiasta; kochała ją Pojata, jak osobę należącą do familii, a winną jej będąc wychowanie z dzieciństwa, do uczuć przywiązania łączyła wdzięczność i uszanowanie. Ciwunowa też sercem macierzyńskiem czuła powrót drogiej swej wychowanki. Po smacznej wieczerzy nastąpił pożądany spoczynek. Na rano Krywekrywejte kazał się zaprowadzić do świętego dębu i wobec zgromadzonych mieszkańców obfite bóstwom składał ofiary za wybawienie córki z niebezpieczeństw tak wielkich i gorące zanosił prośby o zachowanie Jagiełły i jego rodziny.

Trojdan w wyznaczonem między kapłanami mieszkaniu znalazł wszelkie wygody i te troskliwe około siebie starania, jakie mu niedopiero już zjednala sława dobrych jego postępów i u Lezdejki wziętość. Niezwłocznie ranę jego opatrzyli starcowie; następnie pomoc Ciwunowej, znającej się dobrze na gojących ziołach, blizkie mu wyzdrowienie wróżyła.

Ale stan nieszczęśliwej Akseny wcale był inny. Nazajutrz zaraz uczuła mocne z sił opadnienie, które jej odtąd nie dozwoliło opuścić łóżka. Znękana niedolą, osłabiona podróżą, mimo wytrwałej natury, nie mogła długo opierać się właściwej ludziom niemocy. Starania Pojaty i cała Ciwunowej umiejętność mało zdołały zapobiedz chorobie, której źrodło znajdowało się w udręczonej jej duszy. Tak codzień gorzej się mając, przyszła do tego stopnia niemocy, w którym trzeba było bać się o jej życie. Okropna gorączka, krew jej zapalając nagle, wzmogła wycieńczone siły. Pozbawiona przytomności umysłu, zrywała się z łóżka, pędząc za najezdnikami, lub w okropnych przekleństwach srogości ich złorzeczyła. Imię męża, brata i matki ciągle powtarzały jej usta. To ich widziała zgromadzonych, jak niegdyś około siebie, szczęśliwych i radujących się, uśmiech jej błogi dawał znać. jak słodkie łudzą ją obrazy; to odartych, skrwawionych, błąkających się lub zabójczem żelazem przeszytych, wtenczas jej stan tak był gwałtowny, że się lękano do niej przystąpić. Wiele sobie Pojata i Ciwonowa zadać pracy musiały, aby tę nieszczęśliwą zachować przy życiu i od szkodliwego uchronić zapędu. Pociecha i przełożenia nie czyniły żadnego wrażenia, sama tylko moc i siły mogły ją na czas jaki hamować.

Ale i Ciwun był z powrotem z Wilna. Nie mógł on w pierwszych chwilach wracającego w tem mieście porządku dowiedzieć się o losie osób, które go po Pojacie zajmowały najbardziej; lękał się nawet ciekawie o nie dopytywać i tyle tylko doniósł, że Jagiełło, matka jego i Wojdyło są pod straż oddani i że ten ostatni w tak ścisłem jest zamknięty więzieniu, że mu się z nikim widywać niewolno. Poznał zaraz Lezdejko, że na tym nieszczęsnym doradcy Kiejstut całą swą zemstę chce wywrzeć i zakazał Ciwunowi rozgłaszać tak smutnej wieści.

Tymczasem gwałowność choroby Akseny pomału wolnieć zaczęła. Stan jej poprzedni, jak burza przelotna, musiała prędko przeminąć, lecz po nim daleko większa niemoc i niepamięć rzeczy przeszłych nastąpiła. Właśnie w tej porze wyprawieni z Wilna posłańcy za jej śledzeniem do Kiernowa przybyli, lecz, widząc ją w tak smutnem położeniu, niewielką z odkrycia swego korzyść odnieśli i tyle tylko dobrego zrobili, że Kiejstut, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie Akseny, niezwłocznie przysłał z Wilna lekarza, który wszystkich użył sposobów, aby módz ją zachować.

Tak staranne zabiegi przy religijnej pomocy, której kilkakrotnie chorej udzielono, dawały postrzedz niejaki promyk nadziei. — W kilka tygodni wracać zaczęła przytomność umysłu, lecz osłabienie tak było wielkie, że się podnieść o swojej sile nie mogła. Jednakże ta niemoc nie była długą, młodość Akseny i skład jej fizyczny prędko przyszły jej w pomoc, a odzywająca się potrzeba pokarmu i roztropne jego użycie widocznie wzmagać zaczęły siły. Jak tylko była wstanie przechadzać się, zaraz oświadczyła chęć powrotu do Wilna. Przyjaciele jej wiedzieli dobrze, że tamby drugą chorobę, a może i śmierć znalazła;

kryjąc więc przed nią straszną wiadomość, nie przestawali ją ciągle pod pozorem dostateczniejszego sił umocowania zatrzymywać na miejscu. Musiała Aksena uledz ich troskliwości.

Tymczasem Pojata z Trojdanem nie zaniedbywali dostarczać jej różnych rozrywek, mogących rozweselić duszę i utwierdzić zdrowie. Ciwun, znając jej upodobanie w łowach, często ją wywiódł na polowanie i starał się wpędzić na jej pocisk zwierza; innych dni znów dzielono rybackie na Wilii zabawy, niekiedy też Pojata wywoziła ją na zieloną wyspę, która tak pięknie na rzece z jej mieszkania się przedstawiała i gdzie miała małe swe gospodarstwo, wiejski domek, trzodę i ogródek, lub udawała się dalej za rzekę pomiędzy wioski i gaje; ale te rozrywki mało pocieszały jej umysł stroskany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZCZĘŚĆ BOŻE!!!

Szczęść Boże wam wieśniacy,
Waszej wiosennej pracy,
Niech każdy z was rolę orze,
Dopomóż wam Boże!

Czy to biedny, czy bogaty,
Niechaj wyjdzie ze swej chaty
W pole, aby posiać zboże,
Dopomóż wam Boże!

Staruszek kijem się podpiera —
Czy się da robić obziera,
Lecz on robić już nie może,
Dopomóż mu Boże!

I wy, kochane dziatki,
Słuchajcie ojca i matki —
Pomagajcie ojcu, gdy orze,
Dopomóż wam Boże!

Kowal już pługi zrychtował,
Ażeby wam lepiej orał.
A więc teraz dobrze orze,
Dopomóż wam Boże!

Stelmach dobre zrobił kółka
Może za nie ciągnąć czwórka,
Kładźcie na nie swoje zboże,
Dopomóż wam Boże!

I powroźnik wraz z rymarzem
Oni też obydwaj razem,
Bez nich koń ciągnąć nie może,
Dopomóż im Boże!

Więc wszyscy, od góry do dołu,
Pracujmy razem pospołu
W tej wiosennej porze,
Dopomóż nam Boże!

A gdy się wszyscy zmęczymy
I za stołem zasiędziemy,
Będziem „R o l ę“ czytać szczerze,
Szczęść ci Boże! Redaktorze!

Leon Łętowski.



MACIEK BZDURA GADA:

Wkiejsik, jagem poił konie przy studni, pada do mnie Magda od wójta:

— Słuchaj, Maciek! Co to jest ta polityka, co o ni u nas w niedziele gospodarze radzili?

Jaka ona głupia, zwycajnie jak baba! Ale i najgłupsemu, jak się pyta, trza wszyćko dokumentnie wytłomacyć, zeby nie był iesce głupsy.

Więc i ja powiadam do Magdy:

— Z polityką, to jest tak jak nieprzymirzając z tobą i z Walkiem — a z tobą i z Symkiem. Jak Walek z tobą się śmieje i grzecnie gada, to on robi ino politykę, ale o zeniacce ani myśli; ale jak cię Symek w pośladek uscypnie a da kuksa pod ziobro, to najcystsy dowód, że cię miłuje i na zapowiedzi szóstki rychtuje.

— Z polityką, to widzis jest tak, jak między sąsiadami. Jak sąsiad sąsiada do karcmy na wódeczkę ciągnie, to nie po to, aby go uraczyć, ino po to, aby go tam do niescęscia przywieść, a potem z niego się naśmiwać, z jego bidy korzystać, a casem i w karcmie nawalić. Jagby sąsiad zycył somsiadowi dobrze, toby z niem nie robił polityki, aleby go od karcmy odwodził.

Tylem powiedział Magdzie, bo co ta duzo z marną niewiastą gadać. Baba choćby miała głowę jak floryjański kościół, albo maryjacka brama, to nigdy wszyćkiego dobrze nie pojmie.

Gdyby było tak gadanie z chłopem, to co inksego! Ja bym mu opowiedział nie ino o wsiowy polityce, ale i o ty co ją robią w całem kraju i we Lwowie, i we Widniu, i w Baranowie.

Jak się takie polityki ni mają o co zryć, to się zrą o to, ze się nie mają o co zryć. I ja zaraz poznom kiedy we świecie dobrze. Jak między politykami cicho, jak ino casem jeden drugiego uscypnie, to ocywisty znak, ze polityki nie mają casu, bo nad cemsi mądrem myślą i nie zrą się. Ale jak się zacynają pyskowania, wydziwiania i inkse wiania, to ja zaraz spenetruje, ze chłopom się cnie i z próżniactwa robią taką głośną politykę.

O wiem ja dobrze, ze te polityki, które duzo wrzescą to mało robią, bo juz święty Pieter w raju powiedział, ze która krowa duzo rycy, to pewnie cielna i niedługo nas cielęciem obdarzy.

Ale o taki mądry polityce, to z babami nigdyby się nie nagadał.

Na politykę chciał wziąć gazyciarzów Lipowiak. Spolitykował se, ze ja mu taki ładny wirs do tamtego lumeru gazyty wygadał i myślał ze weźnie książkę, ale gazyciarze woleli Śmietanę, a Lipowiakowi figę. Jagby ja o polityce politycny wirs palnął, to smiałby się nie tylko ksiądz probosc i organista, ale i wszyćkie kościelne urzędniki.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

Gdy Ryksa uciekła ze skarbami z Polski, zabrawszy ze sobą syna swego Kazimierza, kraj został bez pana, naród bez ojca, Nieład panował okropny. Czesi wpadli do Polski, paląc po drodze aż do Gniezna. W Gnieźnie obrabowali ze skarbów kościół a nawet chcieli zabrać ciało św. Wojciecha, ale zakrystyan pokazał im inne ciało, które ze sobą zabrali.

W takiem nieszczęściu naszej Ojczyzny, nie widziano innego ratunku, jak w Kazimierzu, który był za granicą. Zaproszono go tedy na tron.

Wrócił więc po sześciu latach do Polski i przywiózł z sobą korony, które matka była zabrała.

Miał jednakże ciężkie przeprawy ze zbuntowanym ludem, dopóki go nie uspokoił i dawnego porządku nie zaprowadził.

Radość jednakże z jego powrotu była wielka, bo się naród zbiegał tłumem i jak zbawcę witał. Spieszyli starsi i młodzież, a matki podnosiły dzieci do góry, aby się mu przypatrzyć i zapamiętać go mogły.

Z słowami radości płynęła pieśń powitalna na cześć Kazimierza:

A witajże nam gospodynie drogi!
Oto dzień dla nas weselny:
Ty nam dziś w radość zmieniasz dni trwogi,
Ty, Chrobrego wnuku dzielny.
Długoś tę smętną osierocał ziemię,
Czas jest nieszczęściom zabiegać,
Nieścierp, by miało dzielne lecha plemię
Obcym najeźdźcom ulegać!

Cały kraj witał z radością Kazimierza, tylko niejaki Masław nie chciał go uznać za pana. Przyszło do bitwy, w której Masław został pobity, gdyż go właśni towarzysze opuścili.

Kazimierz panował lat 18, a ponieważ przyprowadził kraj do porządku, przeto nazwano go Odnowicielem.



Powrót Kazimierza I. do Polski.

POD GEWONTEM.

„Testament J. Słowackiego"
„Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec".

W noc lilij, róż i storczyków otworzył się grób wieszcza — grób wykuty w skale przez tych, którzy chcieli go ukołysać szumem wichrów tatrzańskich, śpiewami wieczornemi jezior podhalańskich,... którzy chcieli go ukołysać lutniami serc swoich*.) Otwarły się wrzeciądze i z grobu wyszedł duch biały, spowity w szatę jasną — a w ręku miał kostur pielgrzyma. I szedł ów duch poprzez ugory sine i łąki kwieciem i zielem pachnące, przepłynął ponad jeziorami które czyste zwierciadła zostawiły księżycowi, aby w nich swój wizerunek oglądał, a same ponure, spokojne, wiejące jakąś okropną głębią śmierci szły na spoczynek...

I szedł on przez urwiste skały, z których szczytów widniała moc i siła. Przechodził przez bory gęste a ciche; przechodził wsłuchany w grę sosen i świerków: — w ich śpiew wiekuisty, monotomny spokojny i równy.

*) Grono artystów i mężów zasłużonych postanowiło złożyć zwłoki J. Słowackiego w skale, w dolinie Kościeliskiej, w Tatrach. Na wykucie grobu zbiera się osobny fundusz im. J. Słowackiego.

Aż nagle stanął i oparł się zmęczony pielgrzymką na urwisku skały, lecz kostur trzymał silnie w ręce. Przed nim leżały pola i łąki uśpione — widniały szczyty wielkich kościołów i dumne krzyże wielkich katedr i świątyń stołecznych... Przed nim leżały chaty słomą kryte — i widniały pałace magnackie, a wszystko spoczywało pogrążone w śnie głębokim i cichem... A — zimne usta ducha poruszyły się i on rzekł:

— „Polska, — nareszcie Polska!!" „Przyszedłem i jestem na mojej ziemi.... i pozostanę..,

I usiadł na skale, patrzył i obejmował wzrokiem, z jakim matka tuli dziecię do łona tę ziemię. I wyciągnął on duch dłonie i błogosławił tę ziemię...

W tem spostrzegł, że doliną, która rozciągała się pod jego stopami idzie tłum... I ocknął się mistrz z zadumy i patrzył, jak ci ludzie zbliżyli się do niego...

Na czele szeregu szedł starzec ślepy, siwy jak gołąb — w ręku trzymał zniszczoną karabelę. I zbliżył się do mistrza z głową schyloną, a z oczu wiecznie zamkniętych, sączyły się łzy ciężkie i spadały na pierś zapadłą.

I stali tak naprzeciw siebie, a tłum milczący patrzył na nich. — Wieszcz rzekł: —

— „Ktoś ty?"

A usta starca wyszeptały." —

— Jam przesłość Polski". — i jęk wydarł się z piersi jego, a wraz z nim padł starzec martwy.

Lecz jedna więcej śmierć nie wywarła żadnego wrażenia na tłumie...

— „Przeszłość umarła!" wyszeptały usta i milczały...

Z tłumu wystąpił człowiek o twarzy bezmyślnej ręce trzymały laskę wichrzyciela, a na czoło niewidzialna dłoń kładła mu czapkę błazeńską — a na piersiach miał przypiętą, naszą kokardkę 3 maja. I zwrócił się ten człowiek do mistrza, a na pytanie, „Kto on", odpowiedział: —

— Jam teraźniejsza miłość Polski".

Śmiech drwiący przeszył powietrze i umilkł gdzieś daleko...

I stanął po nim chłopek w podartej sukmanie i jął się skarżyć, że żyd lichwiarz wypędził go z chaty i wskazał wieszczowi, na dzieci — istoty, na których twarzach nędza, bezmyślność i apatya wyryły swoje piętno. A na pytanie: „Ktoś ty"? chłopek odpowiedział.

— „Jam oświata Polski".

I szły tłumy nędzarzy, żebraków, i wyrzutków społeczeństwa, nieszczęśliwych dzieci ulicy, istot bez czucia i myśli, lecz wieszcz się już nie pytał, kto oni, bo wiedział, że to dobrobyt Polski"

I szedł za tem tłumem nieporadny gospodarz rolniczy z tłumoczkiem w ręce, stanął przed mistrzem i głowę ze skruchą spuścił na piersi — A mistrz skinął ręką i rzekł:

— Nieumiarkowanie Cię zgubiło!"

I szli dalej żydowscy bankierzy, po polsku niewiele umiejący, którzy, w kraju bezradni byli bo obcy byli wpływom ducha czasu, obcy nadziejom, — obcy współbraciom, a za nimi czereda służalców... I przelecieli oni jak huragan, przelecieli kąpiący złotem — a pod ich nogami padło martwe stratowane dziecię wieśniaka.

I szedł młodzieniec-starzec! Młodzieniec latami, lecz starzec ciałem i umysłem. Ruchy leniwe, uśmiech przeżyty na ustach, cała istota zdawała się mówić: — „W nic nie wierzę — jestem niczem!"

I szedł z nim jego towarzysz, przeciwieństwo pierwszego, o ruchach żywych. Oko jaśniało wesołością — na ustach młodzieńcza piosenka. I wieszcz odwrócił smutne głębie swoich oczu od pierwszego, przeniósł je na drugiego młodzieńca i spytał:

— „Ty kim jesteś?"

Lecz w jednej chwili chmura okryła pogodne czoło młodzieńca, rumieniec wstydu wystąpił na lica:

— „Jam syn chłopa — rzekł."

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi mistrz, więc wyszeptał:

— Nie o to pytam, kto twoim ojcem — ale to tem lepiej — rolnikiem będziesz — przywrócisz byt materyalny Polsce! ...

— „Ja?... wyrzekł ze zdumieniem młodzieniec — Nie, Panie, ziemia teraz nie popłaca, ja będę urzędnikiem!...

— To młodzież Polski!...

I szły tłumy robotników rozszalałych dziką orgią, z sztandarami krwawemi, a pieśń o krwi brzmiała — Biedni! oni chcieli stworzyć sobie szczęście krwią braci!...

I szły tłumy niewiast i bladych paniczyków, okrytych świecidłami, jęczących z głodu, a ta czerń się zwała: „Chęcią błyszczenia!"

I szli ludzie o inteligentnych, wybitnych twarzach, na których rozum i znudzenie walczyły, którzy mogli pracą cudów dokazywać, a oni byli zarażeni: „Straszną chorobą próżniactwa."

I stanęli przed mistrzem ludzie, o gorączkowych ruchach, wiecznie pracujący nad ogólnem dobrem, lecz praca ich żadnego nie przynosiła owocu, bo ich czyny się zwały: „niezrozumieniem dobra ogólnego

— — — — — — — — — — — —

I szły tłumy ułomnych ciałem i duchem — a wszystko to była Polska...

Postacie te przepadały tak prędko, jak nagle się pojawiały.

W miarę, jak znikały, ukazywał się coraz większy ból na twarzy wieszcza.

A gdy cichość zapanowała w dolinie, ból ten skrystalizował się we łzie czystej, — A z ust ducha wyrwały się namiętne słowa skargi...

I skarżył się mistrz wiatrom i szumom, że gdy wrócił z wędrówki — on tułacz — nie znalazł w kraju serc, — nie znalazł dusz, — uczucia — zgoła niczego. — I skarżył się wielki poeta wodnem liliom szemrzącem po jeziorach, że, „zamiast aniołów, znalazł zjadaczy chleba," — że łzy jego i boleść i męki okazały się daremne..., że kraj jest w większej niedoli, niż był, jak go opuścił — bo wtenczas były serca szlachetne, umysły podniosłe, a teraz nic jeno bieda, nędza i zimno serc.

W tem usłyszał szelest u stóp swoich.

Pochylił się i zobaczył wieśniaka, klęczącego, który trzymał w swoich objęciach zwłoki stratowanego dziecka. Nieszczęśliwy ojciec nie szlochał, tylko z oczyma utkwionemi w mistrza siedział i czekał... A gdy mistrz na niego zwrócił swe oczy chłopek rzekł:

— „Panie, czekam, boś Ty dobry i mądry: daj mi zarobek, aby dzieci moje z głodu nie umierały, otocz mię opieką przed niedobrymi ludźmi, co mi dzieci zabijają. — Panie! ja pójdę wszędzie za Tobą, zrobię co chcesz — ale daj mi zarobek — O daj!"...

Tu łkanie przerwało jego mowę... — a wieszcz rzekł: — „Tyś zbawienie Polski" — idź i powiedz, żeś synem ducha mojego i uwierz w to sam, a oni dadzą ci pracę, a ja cię wspomogę. Lecz synu przedewszystkiem pracuj — a w godzinie Twej największej męki i trudu przychodź do mego siedliska — tam w dolinie — mów do mnie jak do ojca, a ja Cię wspomogę. —

Pracuj!...

— — — — — — — — — — — —

I duch odszedł cichy i jasny z promienną smugą na czole, wstąpił do swego grobu, aby czekać aż przyjdzie do niego syn, a on mu doda otuchy i wytrwania.

— — — — — — — — — — — —

A wieśniak zadowolony odszedł szukać pracy godnej syna Juliusza Słowackiego...

Szymon Filar.

Czytelniku! Niech nie braknie nigdzie naszej „ROLI",
Ona w pracy Ci pomoże, pocieszy gdy boli...
W przykrych chwilach rozweseli, zabawi w potrzebie,
A gdy trzeba, to pouczy, uświadomi Ciebie.

NA KWIETNIOWYM ŚNIEGU.

Zajaśniało słonko, wiosenne słonko. Ziemia skrzepła od podmuchów zimowych, poczęła tajać, ptaszęta przylatywały z ciepłych krajów, aby swojem świergotem rozwesalać ziemię naszą. Tu i ówdzie wystrzelił już barwny kwiat i siał wokół balsamiczne wonie.

Ludzie wyciągali ze szop, spoczywające przez długą zimą, pługi, popasali koniki i spieszyli w pole, aby w Imię Boże rozpocząć orkę wiosenną i siew jary, a gdy się da i ziemniaków trochę zasadzić.

Tak było na całej polskiej ziemi, tak samo było i we wsi Kąkolinie, położonej w dorzeczu Wisły.

Kąkolin była to wioska biedna i zaniedbana, bez szkółki a i od kościoła dwie mile z okładem. Wprawdzie miała ona aż cztery przytułki, w których szatan gości przyjmował t. j. karczmy.

Z karczmy tej rozchodziła się na całą wieś nauka, oczywiście nauka zgubna, szatańska. Prędzejby tam było można przypuścić, że się znajdzie w Kąkolinie góra złota, zaczarowana księżniczka lub coś tam podobnego, aniżeli książka lub pouczająca gazetka.

Ale i w takiej wiosce ludzie jeść muszą, albo raczej życie ich ogranicza się tylko do jedzenia, więc i w takiej wiosce, aby było co jeść, trzeba było wziąść się do pracy.

Spieszyli też prawie wszyscy, wywabieni jasnem blaskiem wiosennego słońca, w pole, aby rozpocząć prace całoroczne.

Spieszyli prawie wszyscy, ale nie wszyscy!

W samym środku wioski miał swą chatę Józef Brzytwa, ten co w kościele już trzy lata nie był, ale karczmy, ani dnia nie opuścił.



„Ciała skłębiły się na kwietniowym śniegu“.

Brzytwa na wszystko miał czas; musiała to być tępa brzytwa. Gdy u innych już zboże zielenią pokryło zagony, Brzytwa dopiero wychodził na pole, aby je zasiać. Gdy inni plon zbierali, jego zboże dopiero zaczynało dojrzewać.

W skutek takiego lenistwa bieda pchała się do chaty Brzytwy drzwiami i oknami. Często gęsto i jałowej strawy brakłowało dla niego, dla żony i dzieci, ale na jedną wódeczkę nigdy grosza nie brakło. Brzytwa zwykle w jesieni wynosił do karczmy, to garniec zboża, to ćwierć ziemniaków, zimą zaś szedł do lasu dworskiego, lub do sąsiadów, aby coś przykraść i zanieść Mośkowi na drogocenny napitek.

Choć cała wieś Kąkolin, żyjąca bez Boga i oświaty, niewiele lepszą była od Brzytwy, ale i tam trafiali się przecie gospodarze światlejsi, którzy Brzytwie przyganiali takie życie i nieraz starali się nakłonić go do pracy statecznej i uczciwej. Ale wszystko napróżno — wszystko bez skutku.

Aby dokładnie opisać Kąkolin, muszę dodać, że był tam przecie jeden człowiek, który posiadał trudną sztukę czytania, a nawet, o zgrozo, tracił pieniądze na jakieś głupstwa, jak książki i gazety. Śmiali się też ze starego Jacka Sochy wszyscy mieszkańcy Kąkolina! Mimo śmiechu jednak, w ważniejszych sprawach udawali się do niego o radę, której ten zawsze chętnie udzielał.

I teraz, gdy wszyscy spieszyli do wiosennych robót, wstąpił do Brzytwy Jacek Socha i powiada do niego:

— Józefie! wiosenka aż miło, a wy w domu i za piecem? Zaoralibyście, zasiali, jak inni robią, bo czas największy!

— A co to pole zając — odrzekł Brzytwa — nie ucieknie. Rzekłszy to, spojrzał brzydko na Sochę.

Stary Jacenty pokiwał smutno głową i poszedł w dalszą drogę, zaś Brzytwa wlazł na piec i usnął.

Minęło dni parę. Pola Kąkolińskie, o ile to było potrzeba, zostały już pozasiewane, jedynie pole Brzytwy stało nietknięte.

Ale i Brzytwie przyszła myśl, że przecie trzebaby coś w polu zrobić, bo inaczej nawet w jesieni na wódkę nie będzie. Myślał nad tem całe dwa dni, aż trzeciego wieczorem postanowił, że nazajutrz wyjdzie na pole obejrzyć, gdzie trzeba zorać i zasiać.

Brzytwa nadspodziewanie postanowienie wprowadził w czyn. Gdy tylko wstał rano, poszedł do karczmy, a zabawiwszy tam zaledwie ze dwie godziny, wybrał się w pole. Wprawdzie nie był to dzień dobry do oględzin, gdyż spóźniony śnieg kwietniowy przyprószył zagony, że nic a nic nie można było rozróżnić, ale Brzytwa, wśród tysiąca wad, miał jedną zaletę, że co raz postanowił, wykonać musiał.

Wyszedłszy w pole, liczył stajania na palcach i rozważał, gdzie trza będzie zorać i zasiać. Złość go przy tem rozbierała, bo sumienie wyrzucało mu, iż on tylko przez próżniactwo jeszcze tego nie uczynił, podczas gdy inni już z większą częścią siewów wiosennych się uporali. Złość swą chciałby był wywrzeć na kimś, ale na razie nie było na kim i nie było za co. Spoglądał na pole sąsiada, czy ten gdzie mu miedzy nie uorał, ale nigdzie nie mógł tego zauważyć.

Nareszcie w jednem miejscu ziemia tuż koło miedzy wyżej wystawała, a choć ją śnieg przyprószył, zdawało się Brzytwie, że w tem miejscu własność jego została przez sąsiada naruszona. Począł prędko odgrzebywać śnieg, gdy w tem nadszedł sąsiad z synem i parobkiem, wracając z pola.

Pochwaliwszy Pana Boga, z uśmiechem zapytał idący:

— A czego wy Józefie szukacie? pieniędzy? Drwiący ton sąsiada przyprawił Brzytwę o wściekłość: rzucił się na mówiącego i uderzył całą siłą w twarz. Napadniętemu przyszli na pomoc syn i parobek.

Ciała skłębiły się na kwietniowym śniegu. Walka niedługo trwała. Trzech, może słabszych od Brzytwy; ale zawsze trzech, pokonało go wkrótce, a ten wracał do domu skrwawiony i zbity, nie myśląc już dnia tego o pracy.

Ale i następne dni nie były lepsze. Rany poczęły piec i dokuczać, trzeba je więc było goić, a gdy się podgoiły musiał Brzytwa stawać do sądu, jako oskarżony o gwałt publiczny i tak cała wiosna zeszła na marne. Następnej zimy bieda zagnieździła się na dobre, aż w końcu wygnała go z wiosną do Prus na zarobek, gdzie połowę lata przesiedział w kryminale.

Tymczasem gospodarstwo upadało coraz bardziej, aż upadło zupełnie.

Ant. St. Bassara.

DUMANIA WIECZORNE.

Księżyc, jutrzenka i słońce.

Przed stworzeniem świata widzialnego, stworzył Pan Bóg świat duchów. — Były to duchy obdarzone nadzwyczajną pięknością, jaśniały rozumem i taką doskonałością władz, które my ludzie, nazywamy władzami umysłu, albo darami duszy, że mogły w całej pełni używać szczęścia w obcowaniu ze swym wszechmocnym Stwórcą. Do tych wszystkich darów nie dał im Bóg tylko ciała, ale za to dał im wolną wolę.

Jedni, czując to ogromne szczęście swoje, zwracali się z niezmierną wdzięcznością ku Panu, wielbili Go — jakbyśmy to po ludzku powiedzieli, całem sercem, całą siłą swej woli i swego rozumu, a przez to tembardziej powiększali swoją radość i swoje szczęście.

Drudzy, olśnieni swoją wspaniałością, zaczęli się przypatrywać więcej samym sobie, rozmiłowywali się w swojej piękności tak, że o wszystkiem innem, nawet o swym Stwórcy zapomnieli.— Pomiędzy nimi odznaczał się szczególniejszą pięknością jeden, który, jak księżyc między gwiazdami olśniewał ich swoim blaskiem. Ten oślepiony swoją doskonałością, niepomny na to, skąd ją wziął, uznał się za niezrównanego i postanowił w pysze swojej wynieść się ponad Boga i wraz z podobnymi sobie duchami wypowiedział Wszechmocnemu posłuszeństwo.

Stanąwszy dumnie na szczycie swojej chwały, wołał zuchwale: „Któż jest, jak ja? Któż jest, jak ja?"

Żal ogarnął dobre duchy na widok tej niewdzięczności i pychy. Archanioł Michał wraz z wiernymi Bogu aniołami, cherubinami, serafinami i wszystkiemi mocami niebieskiemi stanął naprzeciw zbuntowanych duchów ze strasznym, druzgocącym okrzykiem:

— Któż jest, jak Bóg?!

I drżeć poczęły duchy zbuntowane, bo teraz poznały swoją niegodziwość. — Piękność ich zbladła, jasność zgasła, dobroć przemieniła się w złość i nienawiść, mądrość w chytrość i podstęp, a miłość w zazdrość. — I odtrąceni zostali od obecności Bożej, i stracili szczęście na wieki.

— — — — — — — — — — — —

Pan Bóg stwarzając świat widzialny i osadzając na ziemi Swoje umiłowane dziecię-człowieka, chciał mu dać widoczną pamiątkę i znak tego strasznego zdarzenia.

* * *

Po zachodzie słońca wyszedł na niebo pyzaty księżyc. — Idzie powoli, rozglądając się po niebie, a gwiazdki mile go witają i przyjaźnie do niego mrugają. On jednak uważa się za coś bez porównania lepszego, — kroczy dumnie, jakby chciał wszystko roztrącić i wszystko swoim blaskiem przyćmić. Chce błyszczeć tylko on sam.

Pyszny, jak Lucifer, niepomny, że nie ma własnego światła, olśniewa inne gwiazdy, jakby wołał: „Któż jest, jak ja?" A gwiazdki mrugając oczkami, zdają się płakać na jego pychę. — Łezki padają im z oczek i lecą jasne aż ku ziemi, jako gwiazdki spadające. Wtem wybiega jutrzenka, jak Michał archanioł i woła: „Któż jest, jak słońce?" — Wnet też ukazuje się i słońce, a księżyc blednieje natychmiast, a nawet powoli czernieje, zakrywa się cieniami niknie z ócz na nowiu.

Tem przypomina człowiekowi grzech Lucifera, przezwanego po upadku Lucyperem, i innych duchów, którzy z aniołów stali się djabłami. Tem upomina człowieka, aby nie postępował tak, jak te zbuntowane duchy.

Stanisław Brzostyński.

LUBIĘ...

Lubię ten błękit modry nad nami,
Lubię te pola szumne zbożami,
Lubię te łąki kwietne woniące,
Lubię te ciemne lasy szumiące.

Lubię te nasze góry wysokie,
Lubię te hale, błonia szerokie,
Lubię strumyki w biegu szemrzące,
Lubię te rzeki, z szumem pędzące.

Lubię promienie złotego słonka,
Lubię małego w górze skowronka,
Lubię wiosenne ptactwa hejnały,
Lubię ten boży piękny świat cały.

* * *

Ludu siermiężny, ludu ty rolny!
Chociaż twój żywot twardy, mozolny,
Możesz się przecież szczycić swym stanem,
Boś, niezależny, swej woli panem!

Bo tobie boże słonko wciąż świeci,
Zboże się kłania, łąka się kwieci,
Szemrzą ci zdroje, szumią ci drzewa
I ptactwo hymny swobody śpiewa.

I bodaj tylko słońce oświaty
Do każdej wiejskiej zajrzało chaty,
A wtedy na swej ojczystej niwie
Szczęśliwym, ludu, byłbyś prawdziwie!

Ferdynand Kuraś.

Wzrok ofiary.

XVIII. Morderca.



Sędzia śledczy Ginory, naczelnik policyi i mały Bernadet, oprócz nich zaś i cały świat sądowy, nie wątpił już, że mordercą Rowera jest K. Prades. W gazetach pojawiły się natychmiast prawdziwe i szczegółowe wiadomości o osobie mordercy. Karol Henryk Prades był ujarzmiaczem bawołów. Sprytni dziennikarze wydobyli od właścicielki zakładu, gdzie Prades mieszkał, podpis obwinionego, charakter jego pisma i opisali barwnie, w jaskrawych słowach koleje jego życia. Odkąd Prades spotkał się w Buenos-Aires z byłym konsulem, żywił ku niemu dziką nienawiść, a morderstwo — zdaniem dzienników — było aktem zemsty.

Dziwnym zbiegiem okoliczności odgadli część prawdy. Rower odpokutował istotnie za część swej przeszłości, kiedy pewnego dnia znalazł się wobec człowieka, który go zamordował, Celem przeprowadzenia wielkich przedsiębiostw rolniczych były konsul połączył się w Buenos-Ajres z pewnym człowiekiem zupełnie zbankrutowanym. Człowiek ten miał dwoje dzieci: dziewczynkę, z którą Rower omal się nie ożenił i syna. Rower został oczywiście jedyną podporą tych dzieci, kiedy Jan Prades wskutek niesłychanych długów odebrał sobie życie. Rower spłacił długi i zajął się dziećmi.

Gdyby Karolka żyła, konsul byby ją niewątpliwie poślubił. Kochał ją tkliwą, głęboką miłością, miał dla niej niezwykły szacunek. A gdy biedna dziewczyna umarła nagle, Rowerowi pozostało tylko znowu wspomnienie i obraz życia rodzinnego, o jakiem marzył.

— „Kto wie, — myślał nieraz, — czy ta przedwcześnie zmarła nie dałaby mi szczęścia, o które nie chciałem prosić matki Marty. Gdybym miał córkę, nosiłaby moje nazwisko, miałbym prawo pokazać ją z dumą każdemu!"

Pamiętając o ostatniej prośbie samobójcy, przeniósł Rower czułość, jaką darzył Karolkę na jej brata. Syn Pradesa, chłopak gwałtowny, żądny życia, ulegający pokusom, uważał tę opiekę za rzecz zupełnie naturalną. Mawiał też często do swoich przyjaciół: „Jako towarzysz mego ojca i narzeczony mojej siostry jest ten poczciwy konsul wspaniałą krową, jaką mi los nadarzył".

Ale powoli prośby i wymagania Pradesa, jakie stawiał opiekunowi urosły do niesłychanych granic i zamieniły się w nieznośne wymuszania. Młody rozrzutny, marmotrawny człowiek uważał konsula za skarbiec, z którego można było czerpać bez miary. Nareszcie jednak wyczerpała się cierpliwość Rowera; pewnego dnia Prades dowiedział się, że nie ma co liczyć więcej na wspaniałomyślność swego dobroczyńcy.

Było to w Buenos-Ajres, prawie tej samej chwili, kiedy konsul postanowił powrócić do Francyi. Rower wręczył synowi Pradesa, bratu zmarłej, znaczniejszą sumę, która mogła mu na długo zapewnić życie i oświadczył młodemu człowiekowi dosłownie: „teraz nie powinieneś liczyć na nikogo, lecz zabrać się do pracy, bo jeżeli będziesz dalej prowadził takie życie, jak dotąd, szubienica cię nie minie."

„Więc chcesz mi pan odmówić pomocy? Przypuszczam, że to tylko żarty" — odpowiedział wesoło młody człowiek.

Istotnie nie wierzył w prawdziwość tej pogróżki, wiódł dalej dawne życie. Kiedy środki materyalne zaczęły się wyczerpywać, szukał szczęścia w kopalniach złota, wreszcie znudzony życiem w Ameryce, wsiadł pewnego dnia na okręt i popłynął do Francyi. Wiodła go myśl, aby dalej wyzyskiwać Rowera. Wiedział, że konsul mieszka w Paryżu i niebawem odszukał jego ślady, przyjechał do Paryża z nader szczupłymi funduszami, tak, że ledwie wystarczyły na opłacenie kosztów mieszkania i utrzymania w jednym z podmiejskich zajazdów, dosyć podejrzanego charakteru. Tem energicznej zabrał się więc do poszukiwania, chodził tu i tam, rozpatrywał się na wszystkie strony, aż wreście dowiedział się o adresie i udał się do Rowera. Ten wpadł w straszny gniew na jego widok. Kiedy Prades poraz pierwszy zapytał stróża o mieszkanie pana Rowera, Moniszowie pozwolili mu wejść na górę, chociaż wydawał się im podejrzany. I może Moniszowa posądziłaby go nawet o spełnienie mordestwa, gdyby nie to, że nie mogła zapomnieć Jakuba Dantina, jak stał z Rowerem przed kasą, przerzucając papiery. Prócz tego Prades był tylko trzykrotnie u Rowera, a w dniu morderstwa upatrzył umyślnie tę chwilę na odwiedziny, kiedy Moniszowa była zajęta czyszczeniem schodów na najwyższem piętrze, a mąż jej pracował nad staremi ubraniami w głębi mieszkania; tak więc, nie zwracając niczyjej uwagi, mógł dojść swobodoie do mieszkania Rowera. — Zadzwonił do drzwi; chory Rower dowlókł się do drzwi i otworzył je spiesznie, prawdopodobnie spodziewając się, że „kobieta w żałobie" — jego córka — przyszła go odwiedzić.

Wszystko więc sprzyjało zamiarom Pradesa, który zresztą nie przyszedł mordować, lecz chciał tylko wymusić na Rowerze większy lub mniejszy zasiłek.



Rower, którego to natrętne żebractwo już dawno oburzało, chciał zamknąć młodemu człowiekowi drzwi przed nosem, ale Prades pchnął je gwałtownie, wszedł do pokoju, zamknął drzwi za sobą i rzekł na pół z prośbą, na pół z szyderstwem:

— To już ostatnia rozmowa! Nie zobaczysz mnie pan już nigdy więcej, ale chciej mnie jeszcze wysłuchać tym razem!

Rower wobec tego kazał mu wejść mimo zmęczenia i wyczerpania był nawet zadowolony z tej ostatniej rozmowy, bo spodziewał się, że w ten sposób pozbędzie się wreszcie raz na zawsze tego, to skarżącego się, to znowu grożącego napastnika.

— Czy nie pozwolisz mi nawet umrzeć spokojnie? — rzekł do Pradesa. — Czyż nie zrobiłem już dla ciebie wszystkiego, co mogłem, a nawet więcej?

Prades usiadł na fotelu położył na kolanach swój wielki amerykański kapelusz i bębnił na nim marsza.



— Mój drogi panie opiekunie, jest to już ostatnia prośba o pieniądze z mojej strony. Doszedłem do przekonania, że w Ameryce można żyć daleko lepiej, aniżeli tu w Paryżu. Ale bez względu na to, czy powrócę tam, czy pozostanę tutaj, zrozumie pan chyba, że muszę coś mieć, coś, czego mi brakuje, bardzo brakuje, mianowicie pieniądze.

— Odemnie nie dostaniesz ani grosza więcej! zawołał gwałtownie Rower.

I nareszcie między tymi dwoma ludźmi których wiązało tylko wspomnienie zmarłej, wybuchnęła straszła nienawiść wzajemna.

— Chciałem pozostawić pana w spokoju, mój kochany panie konsulu. Ale głód wyciąga wilka z jamy. Jestem nawet bardzo głodny. I dlatego tu przyszedłem.

Osłabiony, umierający Rower byłby może kiedyindziej wskutek niejasnej obawy oddał chętnie wszystko, byleby zapewnić spokój swej skołatanej głowie. Ale tym razem ostatnim wysiłkiem bronił się przeciwko uroszczeniom tego człowieka, który wyzyskiwał go zawsze materyalnie i moralnie.

— Nie mogę dłużej popierać twego występnego życia — odpowiadział. — Dosyć już tego — dosyć! Jesteś tylko ciężarem dla mnie, którego nie chcę dźwigać dłużej. Nędzniku!

— Mój umierający ojciec, a nawet Karolka polecili mnie opiece pana — mówił Prades, chcąc umyślnie rozdrażnić Rowera.

Imię Karolki w ustach tego awanturnika wydało się choremu bezgraniczną obelgą.

— Zabraniam ci odnawiania tych wspomnień! Niewolno ci kalać imienia tej kochanej, świętej istoty — wypowiedział te słowa z naciskiem — to największa boleść mojego życia.

Rower miał ochotę wołać, dzwonić, wydać rozkaz, aby wyrzucono za drzwi tego bezczelnego i bezwstydnego człowieka. Ale nagle straszna myśl zaświtała mu w chorym mózgu. Cożby pomyślano o nim, gdyby tak uczynił? Cóżby powiedziano? I ten silny, Rower, nie znający obawy wskutek osłabienia, zadrżał przed możliwością ośmieszenia się wobec ludzi. Pomimo braku sił i wyczerpania, wstał z krzesła i próbował wypchnąć za drzwi opierającego się młodego człowieka, w którym ta walka rozpętała wszystkie najgorsze popędy.

Wśród zupełnej ciszy — żaden nie wyrzekł ani słowa — rozpoczęła się brutalna walka, Rower ufny w swoją dawną siłę, pochwycił za gardło Pradesa, objął go żelaznym uściskiem, prawą ręką szukał w kieszeni broni, którą mu później Bernadet odebrał.

Była to straszna chwila, Prades odtrącił Rowera, tak że zatoczywszy się uderzył o krzesło, potem odstąpił nieco, otworzył nóż, z rozszalałym wyrazem twarzy przyskoczył do leżącego, cisnął nim o ziemię, podniósł nóż w górę i zawołał:

— Sam tego chciałeś!

W tej samej chwili Rower wbił w szyję mordercy paznokcie swych wykrzywionych bólem palców, paznokcie, za którymi znaleziono ślady krwi.

A Prades, który przyszedł tylko po to, aby żebrać i grozić, miał teraz w mózgu tylko jedną ohydną, dziką myśl: zabić Rowera. Nie kierował się już rozumem. Wszystkie jego siły życiowe ześrodkowały się we wściekłości; podobnie jak tam na stepach zabijał bawoły i dzikie zwierzęta, tak teraz wbił nóż w szyję Rowerowi, zadając głęboką ranę. Rower drgnął śmiertelnym kurczem, opadł na ziemię, palce jego rozprężyły się i wypuściły szyję Pradesa; morderca, odstąpiwszy kilka kroków, patrzył na zranioną szyję podobną do krwawej wstęgi.

Tylko we wzroku umierającego błyszczało jeszcze życie. Z szeroko rozwartych oczu padła na mordercę ostatnia groźba. Potem, w przedśmiertnej trwodze, oczy Rowera zaczęły szukać jakiegoś oparcia, jakiejś pomocy, rozglądały się dookoła, jak gdyby wołając głośno; z przeciętego gardła wydobywało się głuche, zduszone rzęrzenie.

Prades patrzył z przerażeniem, jak Rower podniósł się rozpaczliwym wysiłkiem, zataczając się jak pijany, postąpił kilka kroków naprzód oparł się o kominek; wykrzywione bólem ręce pochwyciły jakiś przedmiot, którego morderca dotąd nie zauważył. Wzrok zamordowanego spoczął na tym przedmiocie z wyrazem tęsknej głębokiej prośby, zdawało się, że wymawia jakieś słowa, jakieś głuche dźwięki, które zamierały w przeciętej krtani.



Przedmiotem, na który Rower spoglądał, w który wbijał ostatnie błagalne spojrzenia, był obraz, potret młodego, pięknego mężczyzny w ozdobnej ramie. Pradesowi zdawało się, że dostrzega na ramie perły i drogie kamienie. Dopiero później się dowiedział, że były to rzadkie kamienie meksy-

kańskie, nie mające jednak wielkiej wartości. Rower wpatrywał się w ten obraz obłąkańczym wzrokiem; wzrok ten dawał potretowi rozkazy, żądał od niego pomocy, polecał mu ostatnią prośbę umierającego.

A Prades doznał dziwnego wrażenia, że między nim a ofiarą stoi jakiś świadek. I czy to sądził, że kamienie przedstawiają wielką wartość, czy to chciał pozbawić Rowera ostatniej podpory życiowej — nagle podszedł ku skrwawionemu człowiekowi i usiłował wydrzeć mu obraz.

Ale umierający miał w tej chwili jakąś nadludzką siłę; bronił się, utkwił wzrok, podobny do ostatniego błysku gasnącej lampy, w obrazie Dantina, którego Prades nie znał wcale — i umarł.

Dopiero wtedy, gdy Rower leżał już na dywanie, rozlewając dookoła kałużę krwi, Prades wyrwał mu obraz z kurczowo zaciśniętych dłoni. Chciał sprzedać tę bogatą ramę; kamienie musiały posiadać znaczną wartość. Wziął jeszcze kilka innych przedmiotów, które wydawały mu się nienajgorszą zdobyczą i zamierzał wejść już do drugiego pokoju, gdzie stała kasa z pieniądzmi, gdy nagle swem uchem, zaprawionem na polowaniach, dosłyszał szmer, zbliżający się od strony schodów. Ktoś nadchodzi! Kto? Było to obojętne — bądź co bądź świadek — zbliżało się niebezpieczeństwo. Gdyby pozostał w mieszkaniu, naraziłby się niechybnie na aresztowanie. Gdyby spostrzeżono trupa, zaczętoby wołać o pomoc, zamkniętoby drzwi, sprowadzonoby policyę.

Nie miał wyboru między żądzą rabunku a koniecznością ucieczki. Niemożliwem było ukryć się gdziekolwiek. Pobiegł szybko ku drzwiom, zaczekał aż je otwarto, a gdy się uchyliły, wysunął się z kryjówki bez szmeru do przedpokoju. I w tej samej chwili, kiedy Moniszowa weszła do pokoju i wydała okrzyk przerażenia, ujrzawszy Rowera w kałuży krwi, Prades otwierał już drzwi przedpokoju, zamknął je cicho za sobą, zbiegł szybko po schodach, a zanim obezwładniona trwogą Moniszowa zaczęła wołać o pomoc, Prades znajdował się bezpieczny wśród tłumów ludzi, krążących po ulicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A jak to u nas?

Z polskiej wam wioski, kreślę obrazki,
Zielone łany, słoneczne blaski,
Kwieciste łąki, ptasze śpiewanki,
Miesięczne nocy, złote poranki.
Jak się wieśniacy znoją przy pracy,
W doli, niedoli, żyją prostacy...
Jakie zabawy, piosenki granie...
Wesołość, smutek, miłość, kochanie.
Jaka swawola, błędy, ich grzechy,
Jak nieraz płaczą, słomiane strzechy...
Jaka swoboda i wywczas błogi,
Gdy szczęście gości wioskowe progi.
Jak silne w pracy, zgrubiałe dłonie,
Jaki znicz życia, tleje im w łonie,
Który, gdy w jasny płomień rozgorze
Błysną wolności, przejasne zorze.
Z ojczystej niwy, gdzie wioski, chaty,
Niosę wam zbożne kłosy i kwiaty,
Osty — kąkole... zebrane w snopek.
Jantek z Bugaja — poeta-chłopek.

KRONIKA.

Rada państwa. Jak to już pisaliśmy w poprzednich numerach *Roli*, zbiera się na ponowne obrady 14 b. m. Zdaje się jednak, że wskutek niezgody stronnictw, mała będzie korzyść z jej obrad, a kto wie czy się wkrótce nie rozleci.

Bardzo ciężkie pobicie wójta. Pomiędzy Zwieczycą a Boguchwałą, w powiecie rzeszowskim, napadnięto onegdaj na przechodzącego spokojnie gospadarza Józefa Majchrzyckiego, wójta z Boguchwały i ciężko pobito. Sprawców aresztowano.

Już żmije kąsają. Koło Grodkowic, w powiecie bocheńskim, z pociągu kolejowego wysiadł na chwilę palacz kolejowy Wincenty Moskała. W tej chwili ukąsiła go w rękę żmija. Trucizna działała prędko, bo nim ukąszonego przywieziono do szpitala w Krakowie począł już gorączkować. Wobec szybkiej jednak pomocy życie jego zostało ocalone.

Z Towarzystwa rolniczego w Krakowie otrzymujemy z prośbą o umieszczenie, następujący program przeglądu bydła opasowego i trzody chlewnej, urządzonego staraniem Komitetu c. k. Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego na Targowicy miejskiej w Krakowie w dniach 4 i 5 maja 1910 r.

Celem wskazania producentom, jakie rodzaje opasów znajdują najkorzystniejsze spieniężenie bez użycia pośrednictwa oraz wskazania odbiorcom źródeł bezpośredniego zaopatrzenia się w towar u producentów, urządza Komitet c. k. Towarzystwa Rolniczego w Krakowie w dniach 4 i 5 maja br. przegląd bydła opasowego i trzody chlewnej, połączony z premiowaniem.

Przegląd będzie obejmował następujące działy: a) Bydło opasowe rozmaitych ras i gatunków: 1) Woły, 2) Buhaje, 3) Krowy i jałówki, 4) Cielęta; b) Świnie opasowe wszelkich ras i pokrzyżowań: 1) Sztuki młode i mięsne w wieku od 3 miesięcy do 1 roku, 2) Sztuki opasione w wieku od 10 miesięcy do 2 lat; c) Barany tuczne rozmaitych ras: 1) Barany, 2) Owce i jagnięta.

Przegląd bydła odbywać się będzie w odpowiednich przegrodach na Targowicy miejskiej w Krakowie, trzody zaś w nowo zbudowanych zagrodach żelaznobetonowych na tejże Targowicy.

Zgłoszenia przyjmuje do 20 kwietnia 1910 r. włącznie Biuro handlowe dla eksportu bydła rzeźnego w Krakowie, plac Szczepański L. 8.

Wszystkie na przegląd dostarczone zwierzęta muszą być opatrzone przepisanymi paszportami bydlęcymi. Brak paszportów, jakoteż nielegalność tychże może być powodem niedopuszczenia bydła na miejsce Przeglądu.

Miejsce na Przeglądzie jest bezpłatne. Inne koszta ponosi producent. Na podstawie zgłoszenia producenta będzie w swoim czasie wystawiona karta udziału i przesłana wystawcy.

W sprawie zniżki transportowej poczyniono odpowiednie kroki, o czem w swoim, czasie zawiadomi się WP. Wystawców.

Paszę i słomę będzie można na miejscu Przeglądu zakupić, każdy jednak z Wystawców może własną przywieźć ze sobą.

Celem nadesłania w odpowiednim czasie okazów na Przegląd, będzie w swoim czasie każdy z Wystawców o terminie wysłania powiadomiony.

Bliższych wyjaśnień udzieli podpisany Komitet c. k. Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, plac Szczepański L. 8.

Z Komitetu c. k. Towarzystwa Roln. Krakowskiego

Prezes: *Z. hr. Tarnowski m. p.*

Sekretarz: *Dr. J. Raczyński m. p.*

Korony jasnogórskie. Jak to już pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów *Roli*, Ojciec św. ofiarował dla Matki Boskiej Częstochowskiej korony. Obecnie rząd rosyjski udzielił pozwolenia na przewiezienie tych koron z Rzymu do Częstochowy, zwalniając je od opłaty cła. Delegacya po otrzymanie tych koron uda się do Rzymu prawdopodobnie na tydzień; delegacyę składać będą: O. Rejman, generalny przełożony zgromadzenia Paulinów z Częstochowy, ks. prałat Max, przedstawiciel władzy duchownej dyecezyi kujawsko-kaliskiej z Włocławka i hr. Rogier Łubieński z Warszawy. Uroczystość założenia koron odbędzie się na Jasnej Górze w uroczystość św Trójcy. Koronacya Matki Boskiej odbędzie się zapewne nadzwyczaj uroczyście, w obecnoci tysięcy wiernych.

Pożar okrętu. Na okręcie „Cainrona“ zdążającym z Europy do Ameryki, na którym jechali przeważnie emigranci galicyjscy i rosyjscy, nastąpił niedaleko wybrzeży Anglii wybuch, a z nim pożar okrętu. Na szczęście przybył na pomoc drugi okręt, wobec czego tylko jedno dziecko zginęło. Ale zato ciężko rannych zostało 20 osób, zaś lżej 70. Rannych przewieziono do jednego z szpitali londyńskich.

Masło zamieniło się w kamienie. Pewien kupiec z Nowego Targu zamówił w Rawie Ruskiej 4 kg. masła. Jakież było jednak zdziwienie, gdy w pakunku zamiast masła znalazł kamienie. Napisał więc w tej chwili do nadawcy posyłki z zapytaniem, co to ma znaczyć? Nadawca odpowiedział, że równocześnie wysłał kilka posyłek masła, z których każda po dojściu do miejsca przeznaczeuia zamieniała się w kamienie. Oczywiście jakiś sprytny złodziej kolejowy wybierał z paczek masło, a kładł natomiast kamienie.

Największy tłuścioch. W tych dniach — jak donoszą pisma paryskie — umarł w Auwergne we Francyi, sędzia pokoju nazwiskiem Rolland, jak się zdaje najotylszy i najcięższy człowiek na świecie. Ważył 258 kilogramów, obwód jego klatki piersiowej wynosił 1 metr 83 centimetrów, a brzuch nie dozwalał mu ani na chodzenie, ani nawet na jazdę wózkiem. Koleją nie mógł także jeździć, gdyż nie mógł się zmieścić do drzwi przedziału. Z pomieszkania do biura wożono go wózkiem osobnej konstrukcyi.



Wózek stawiano na tylnych kołach pionowo, wpychano tłuściocha do niego, a następnie przywracano wózkowi położenie poziome i zaprzęgano konie. Przed biurem odprzęgano konie i w powyższy sposób wydobywano pana sędziego. Do trumny włożono zwłoki przy pomocy dźwigni. Zwłoki z trumnami cynkową i drewnianą ważyły przeszło 5 cetnarów, a musiano wybić otwór w ścianie, gdyż drzwi domu były dla nich za wąskie. Na cmentarz odwieziono zwłoki na wozie drabiniastym, gdyż karawan był za słaby.

Walne Zgromadzenie Galicyjskiego Banku ziemskiego odbyło się w Łańcucie dnia 22 marca br. przy udziale 41 członków, reprezentujących 403 głosów. Zgromadzeniu przewodniczył prezes Rady nadzorczej, poseł Dr. Jan Hupka.

Sprawozdanie Dyrekcyi odczytano na Walnem Zgromadzeniu i uzupełnione ustnem wyjaśnieniem jednego z dyrektorów, wykazuje dalszy silny rozwój interesów Banku. Z dniem 31-go grudnia 1909 r. liczył Bank 1129 członków z subskrybowanymi udziałami w kwocie 371.200 koron i wpłaconą na udziały gotówką w wysokości 263.147 K. 95 h. W roku sprawozdawczym udziały gotówką wpłacone powiększyły się o 81.916 K. 65 h. Po uwzględnieniu uchwały Walnego Zgromadzenia fundusz rezerwowy i fundusz rezerwy strat wynoszą ogółem 103.301 koron.

Bank posiada jeszcze nie sprzedanych 11.653 morgi 1.223 sążni kw., z tego 5.059 morgów 191 sążni kw. w majątkach własnych. Filia Banku, założona we Lwowie w marcu 1909 r., rozwija się normalnie i przyczyniła się wydatnie do uskutecznienia tak znacznych sprzedaży w roku ubiegłym.

Czysty zysk, osiągnięty w kwocie 48.238 koron 8 hal., Walne Zgromadzenie rozdzieliło w ten sposób, że do funduszu rezerwowego przydzielono 10.000 K., na 8-mio procentową dywidendę 20.000 K., na tantyemę dla dyrektorów i Rady nadzorczej 5.600 K., na rozmaite cele 2.000 koron, a resztę, jaka się okaże, przenieść na rachunek zysku roku przyszłego.

Nad sprawozdaniem Dyrekcyi z czynnoścl i rachunków za rok administracyjny 1909 oraz nad sprawozdaniem lustratora z przeprowadzenej lustracyi od dnia 16 do 22 kwietnia 1909 r., rozwinęła się na Zgromadzeniu dyskusya, której rezultatem była udzielona wskazówka Dyrekcyi, ażeby jak dotąd starała się o pozyskiwanie wpłat na udziały, co nie powinno natrafiać na trudności, bowiem stwierdzonem zostało ponad wszelką wątpliwość, że wśród polskich włościan znajduje się zawsze bardzo znaczna liczba chętnych nabycia gruntów w drodze parcelacyi a dalej, że lokowanie kapitału w interesa oparte na własności ziemskiej nie tylko daje dobre zabezpieczenie ale i wydatne oprocentowanie.

W załatwieniu dalszych punktów porządku dziennego Walne Zgromadzenie zatwierdziło wybór trzech dyrektorów i tychże zastępców na przeciąg lat trzech. Na dyrektorów zatwierdzono Dra Henryka Dymidowicza, Dra Jana Rozwadowskiego i Bolesława Żardeckiego, na zastępców dyrektorów: Jana Kolka, Dra Władysława Michejdę i Marcina Szulca. Przy uzupełniających wyborach do Rady nadzorczej wybrani zostali na przeciąg lat czterech: Dr. Jan Hupka, Dr. Henryk Kopecki, Wincenty Rozwadowski i Onufry Ambroziewicz.

Do Komisyi rewizyjnej na rok 1910 wybrano Dra Gustawa Bielańskiego, Mieczysława Kozaka, Franciszka Magrysia, Ks. Stanisława Stojałowskiego i Antoniego Trojnara.

Na wniosek Komisyi rewizyjnej Walne Zgromadzenie przyjęło sprawozdanie do wiadomości i udzieliło Dyrekcyi absolutoryum z czynności i rachunków za rok 1909.

Dom na drzewie. Amerykanie mają szczególne pomysły i starają się wszystkiemi sposobami sławę kraju: „nieograniczonych możliwości“ ugruntować. Niedawno jeden z nich, niejaki S. Felton, zbudował sobie całkiem oryginalny domek. Jestto zgrabny, drewniany budynek o dwu pokoikach, z ładną werandą, zbudowany wysoko między konarami potężnego drzewa. Do domku wchodzi się po stromych schodkach. S. Felton i jego żona zapewniają, że pobyt w tym domu jest bardzo przyjemny i wesoły. Wartoby i u nas spróbować.

Zmartwychwstał. Od jednego z czytelników *Roli* z Słotwiny, obok Żywca, otrzymujemy wiadomość o następującem ucieszném zdarzeniu:

We wielki czwartek przyszedł do Katarzyny K., jakiś podróżny żebrak, a stanąwszy przed domem począł kaszleć Kobieta popatrzyła do okna i ze zdziwieniem zobaczyła zmarłego przed kilku tygodniami brata swojego męża. Przestraszona ogromnie, nie mając gdzie uciekać, wybiła rękami okno i wyskoczyła na pole, a stamtąd do sąsiada. Sąsiad, wysłuchawszy opowiadania wystraszonej, udał się do jej domu, aby zbadać zjawienie się rzekomego nieboszczyka. I rzeczywiście spotyka żebraka, podobnego do zmarłego, jak dwie krople wody. Wytłomaczono biednej kobiecie, aby się niczego nie bała, gdyż ludzie nie zmartwychwstają, a zaszedł tu tylko wypadek nadzwyczajnego podobieństwa dwóch osób.

Człowiek zwierzę. W jednem z miast węgierskich jednemu chłopu wpadło coś w głowę, że jest Neronem i postępować też zaczął jak ów rzymski Nero. W ten sposób stał się sprawcą około 50 pożarów, przeszło 200 psom i kotom poobcinał ogony i wydłubał oczy, potem biedne zwierzęta wyrzucał na ulicę, gdzie ginęły. Gdy do niego przyszła policya, zastała go, jak wiązał do wozu 20 kotów i psów, by z nich urządzić „pochodnie Nerona.

Wybuch wulkanu. Etna, wulkan znajdującey się na wyspie Sycylii, rozpoczął znowu swą działalność. Z krateru, jakby z jakiego komina ogromnego, bucha ogień, płynie roztopiona lawa, sypie się popiół. Lawa strumieniami rozlewa się po okolicznych polach i niszczy je zupełnie; popiół zasypuje poblizkie domy i wioski. Zrozpaczona ludność z trwogą patrzy na straszne zniszczenie, niewiedząc, kiedy będzie temu koniec.

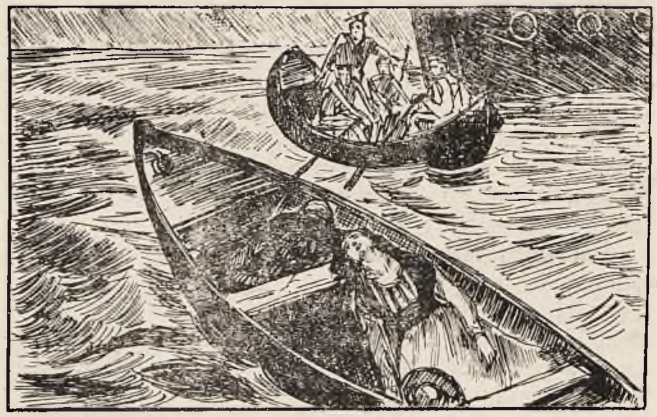
Krwawy samosąd. W Ameryce północnej żyje jeszcze pewna ilość Murzynów, których ludzie „biali“ nienawidzą. Oczywiście o ile Murzyni żyją spokojnie, o tyle „biali“ nie występują przeciw nim zaczepnie, lecz gdy taki Murzyn popełni jakąś zbrodnię, wtedy tłum często sam sobie, nie czekając wyroków sądowych, wymierza sprawiedliwość. Taki samosąd nazywają powszechnie „lynczem“. Lynczowanie takie zaczyna się zdarzać w Ameryce coraz częściej. O najnowszym takim wypadku donoszą z Cairo, w stanie Illinois.



Pewien Murzyn był oskarżony o zbrodnię przeciw moralności i właśnie miał być zasądzony za nią na karę. Ale rozszalały tłum białych obywateli nie czekał na wyrok sądu, lecz uzbrojony w rewolwery i koły, wyłamał bramę sądu i porwał Murzyna ze sali. Po różnych wymyślnych męczarniach powieszono wreszcie nieszczęśnika na latarni.

Wprawdzie Murzyn, popełniwszy zbrodnię, zasłużył może na ową karę, ale od tego są sądy, aby wymierzały sprawiedliwość, a nie tłum, który tym sposobem popełnił nową zbrodnię.

Dramat w łódce. Mimo tylu nauk myślą jeszcze niektórzy, że z chwilą śmierci człowiek przestaje żyć, przestaje cierpieć i t. d. My wiemy jednak dobrze, że z chwilą śmierci zaczyna się dopiero nowe życie dla duszy naszej, a życie takie jakie sobie przygotujemy. Są jednak ludzie słabej woli, którzy, zamiast bohatersko znosić cierpienia tego świata, uciekają się do kuli albo stryczka, aby uciekać przed strapieniami i zawodami.



Do takich należało dwoje młodych ludzi, których znaleziono w łódce na morzu, koło portu niemieckiego Kiel. Pewien okręt spotkał tam małą łódkę, która miotana falami płynęła po morzu. W łodzi tej znajdowała się martwa kobieta z przestrzelonem sercem i nieprzytomny mężczyzna zraniony niebezpiecznie trzema strzałami rewolwerowymi. W jego notatce znaleziono nazwiska: „Dürhkop z Boitzenburga“ i „Anna Miers z Flensburga“.

W liście do rodziców napisała kobieta: „Ponieważ nie mogliśmy razem żyć, postanowiliśmy razem umrzeć“. To postanowienie wykonała nieszczęśliwa para na morzu, jakby to życie było parą butów, które podarte można od siebie precz odrzucić. Łatwo zejść ze świata, ale co potem?

Powstanie w Albanii, która jest częścią państwa tureckiego, szerzy się od dni kilkunastu. Ponieważ jest to kraj górzysty, a więc bardzo dogodny na kryjówki i zasadzki dla powstańców, przeto wojska tureckie nie mogą powstania odrazu stłumić. Czy wcześniej czy później ruchawka ta zostanie pokonana, ale żadna strona z tego korzyści nie odniesie.

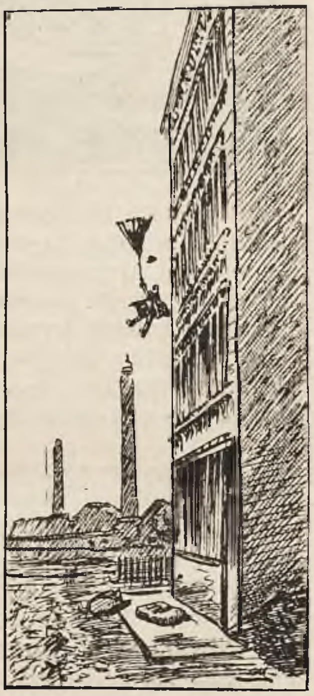
Wesoły parlament. W stanie New Jersey, w Ameryce północnej, podczas posiedzenia tamtejszego parlamentu zjawiło się na galeryi kilkanaście dziewcząt, które poczęły barwnymi papierkami obrzucać posłów. Wielu z nich udało się na galeryę, gdzie zaczęli z dziewczętami rozmawiać i żartować. Po małej chwili tak się rozbawili, że rozpoczęli na galeryi tańce. Wobec tego prezydent zamknął posiedzenie, a zajście to w całej Ameryce wywołało ogromne oburzenie.

Dom „pod białemi kulami“. Na przedmieściu wiedeńskiem Himmelpfortgrund ma być zburzony dom nazwany „pod białemi kulami“. O tym domu jest następujące podanie: Na miejscu tego domu stał w dawnych czasach szynk, w którym namiętnie grano w kręgle. Nawet zbliżająca się msza pasterska nie ukróciła namiętności graczy. Idące na pasterkę kobiety i dzieci prosiły graczy, aby zaprzestali grać i poszli do kościoła, ale ci obrzucili je przekleństwami i grali dalej. Gdy z pobliskiego klasztoru odezwał się dzwon, zwołujący na mszę św., dwu graczy chciało właśnie puścić kule w kręgle. W tej chwili, ku przerażeniu wszystkich zmieniły się kule w oślepiające białe kamienie, które stawały się coraz to większe, zniszczyły kręgielnię i ze strasznym hukiem w poblizkim strumieniu zniknęły.

Noszenie broni w powietrzu zakazane. Rosyjskie ministeryum spraw wewnętrznych wypracowało nowy regulamin tyczący się żeglugi powietrznej. Według tego regulaminu nie wolno w Rosyi przedsiębrać żadnych wzlotów bez pozwolenia policyi. Tosamo wzlot i lądowanie musi się odbyć w obecności zastępców władzy policyjnej. Podróżujący w powietrzu tak przed wzlotem jak i po wylądowaniu mają się poddać rewizyi osobistej, czy nie posiadają przy sobie broni.

Dramat na morzu. Komendant przybyłego do Tryestu parowca „Marta Washington" opowiada, że jeden z pasażerów, 30-letni Rosyanin Szemenko, dostał nagle obłędu i wskoczył do morza. Trzech majtków natychmiast łodzią za nim wysłanych, musiało zaniechać poszukiwań, z powodu silnie wzburzonego morza. Kiedy wracali do okrętu, olbrzymia fala porwała łódź, wywróciła ją i wszyscy trzej odrazu zatonęli.

Latający włamywacz. Niezwykła przygoda zdarzyła się policyi wiedeńskiej. Jakiś mieszkaniec przybiegł na policyę i podał, że w jego mieszkaniu, na trzeciem piętrze, zakradł się złodziej, dobrawszy klucz do drzwi wchodowych, policya zaraz poszła na miejsce i chciała wejść. Trudno to było: drzwi były zastawione sprzętami. Wreszcie dostali się do środka, ale nie znalezli nikogo w mieszkaniu. Rzeczy były porozrzucane, szafy pootwierane. Okno na ulicę stało otworem. Cóż się okazało?



Złodziej usłyszawszy hałas przy drzwiach, przekonał się, że go odkryto i postanowił uciec. Nie miał innej drogi, jak przez okno, po krótkim namyśle wyrzucił na bruk związaną spiesznie kupę ubrań, rozwinął parasol i rzucił się na dół: Kombinował sobie, że rozwinięty parasol sprawi, że powolniej będzie leciał przez powietrze, a zatem upadek będzie słabszy, a dalej, że upadnie na wyrzucone ubranie, nie na twarde kamienie. Kombinacya udała się o tyle, że się nie zabił, tylko mocno potłukł. Nie mógł jednak latający włamywacz ruszyć się po upadku z miejsca i policyanci, którzy z góry zbiegli, zaprowadzili go — do aresztu.

Kocia miłość. W pewnej miejscowości w Krainie miał zamożny gospodarz dwie kotki: matkę i córkę, które się nadzwyczajnie kochały. Trwało to bardzo długo, aż nagle ten miły stosunek zmienił się ku ogólnemu zdumieniu wprost w nienawiść. Matka już teraz córki nie pieściła; syczała na nią kocim zwyczajem i biła ją łapami. Nareszcie znalazł się powód nienawiści. Oto córka złożyła trzy ślepe młode kotki w tem miejscu, w którem równocześnie matka swoje pielęgnowała. Ta śmiałość tak dokuczyła wreszcie młodej matce, że zabrała dzieci i kawałek dalej swoje gniazdo założyła. Szukając pożywienia, zapędzała się na pobliżkie pola, gdzie ją dzierżawca polowania zastrzelił. Wszystkim żal było zwierzęcia, ale bardziej jeszcze kociąt, o których nie wiedziano, gdzie się znajdują. Aż tu stało się coś nieoczekiwanego. Stara kotka, zrozumiawszy nieszczęście wnuków, przyniosła jedno po drugiem do swego gniazda i zastępowała im matkę.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

(Nadesłała Jadzia Ogniewska).

Pierwsze — trzecie:
Kotki dziecię!
W środku tego —
Syn Noego...

2. Zagadka.

(Nadesłał Józef Witek z Ś.).

Umarła o godzinie siódmej rano i tego samego dnia rano pochowały ją oszusty. Jak to było?

3. Zagadka.

(Nadesłał Józef Waszczyszyn z L.).

W lesie wyrosło — w stajni wychowało,
Przyszło do domu — pięknie zaśpiewało.

4. Łamigłówka.

(Nadesłała Adela Bezokówna).

Z podanych zgłosek utworzyć 10 wyrazów, aby początkowe litery czytane z góry na dół dały nazwisko poety polskiego.

A, brzy, ce, ce, cy, czek, cy, e, gna, in, i, in, ka, kry, lia, lusz, lid, ma, me, ment, ny, pe, ryt. szy, sza, stru, sty, wa, wa, war, za.

Znaczenie wyrazów: 1) Przyrządy ułatwiające pracę. 2) Wysłużony kaleka-żołnierz. 3) Patronka muzyki. 4) Strój głowy. 5) Imię męzkie. 6) Wysłużony urzędnik. 7) Stolica Polski. 8) Przyrząd muzyczny. 9) Naczynie drewniane. 10) Część kościoła.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy jak zwykle piękną książkę w nagrodę, którą może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 23 b. m., pod adresem: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32, Redakcya „Roli".**

Rozwiązanie zagadek z nr. 14:

Znaczenie zagadek z nru 14 *Roli:* 1. Szarada: **Skrzyp-ce**, 2. Zagadka: **Łóżko z pierzyną,** 3. Krzyż magiczny: **Pantera, Matylda, Kielnia.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

„Skrzyp" to roślina dobrze znana,
Kto zna botanikę zaraz powie,
Że ta roślina mało używana,
Właśnie się skrzypem zowie.
Litera zaś to „ce",
Trzecia z rzędu w alfabecie.
Całość instrument skrzypce,
Znamy je wszyscy przecie;
Bo gdy na nich gramy,
Brodę podpieramy.

* * *

Cztery nogi ma,
I każdy go zna;
Bo gdy słońce zajdzie,
Każdy doń się kładzie,
I też zwykle tak bywa,
Że się pierzem przykrywa,
Więc myślę tak sobie,
Że to łóżko będzie,
Potrzebne każdej osobie,
Używane wszędzie.

* * *

Pierwsze to „pantera",
Mieszkaniec gorących krajów.
Drugie imię zawiera:
„Matylda". Dobrze się zastanów,
To odgadniesz i trzecie,
Boć to łatwe jest przecie.
Odpowiesz mi też zaraz
„Kielnia", jest to ów wyraz,

Franciszek Gwóźdź.

2.

Niema teraz czasu, tylko przy niedzieli,
Ażeby posiedzieć i czytać. W tej kochanej *Roli*
Są ładne kawałki ciekawe i pouczające
Do tego wiersze ładne, ale za to szarady męczące,
Trzeba się zastanowić nad krzyżem magicznym
I nad rosnącą trawą s k r z y p, w składzie aptecznym.
Trza to wszystko pomięszać instrument i pierze,
M a t y l d ę w środek wsadzić, k i e l n i ę i p a n t e r ę zwierzę.
S k r z y p c e to jest instrument znany w całym świecie,
P i e r z e każdy na ł ó ż k u ujrzy, o tem dobrze wiecie.
Chociaż ja tu nieskładnie pomięszał wyrazy,
Niech przebaczy Czytelnik bez wszelkiej obrazy.

Józef Ralski.

* * *

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Michał Dudek z Ż., Józef Maślanka z T., Józef Gadzicki z O., Jan Stachura z S., Teodor Konoba z U., Józef Strug z L., Jan Radoń z S., Andrzej Koczan z Z., Józef Witek z S., Kazimierz Suchodolski z H., Ks. Jan Koza z Ż., Władysław Moskal z G., Piotr Kiczek z G., Jan Cieśla z B., Stanisław Cichoń z N., Józef Łyczak z H., Władysław Stefański z G., Józef Waszczyszyn z L. (wierszem), Józef Kapuściński z L. (wierszem), Wojciech Bober z H., Wojciech Kapuściński z P., Karol Baron z P., Michał Pietryka z B., Józef Kupiec z G. w., Stanisław Winkowski z P., Jadzia Ogniewska w K. g., Roman Osiniak z K., Biernat z N., Dawid Felczer z P,, Adela Bezokówna z K. m., Józefa Hirszberg z K., Antoni Małecki z L, g., Jan Łojek z R. Jan Inglot z S., Michał Bęzak z K., Antoni Mamak z G., Stanisław Barnas z Z., Karol Pasternak z M, Maciej Wałga z N,, Aleksander Barnak z W., Kazimierz Mrugacz z W., Antoni Wiącek z N., Andrzej Turek z M., Adam Nicpoń z W., Karol Burak z B., Adam Korzeń z P., Jan Sarmacki z S. Jan Baran z W., Stanisław Ozimek z B., Jan Puchała z L., Karol Pardyk z W. Szymon Fitał z M, Marcin Lipiński z S., Antoni Śpiewak z H., Konstanty Zalasiński z N., Piotr Capik z B., Franciszek Jarniński z K, Mateusz Partykuła z N., Jan Babik z W.

* * *

Nagrodę p. t. **„Nad przepaścią“** wylosował **p. Michał Dudek z Ż.**

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

PP. Józef Witek w Ś.: Dobrze Pan robi, że składa *Rolę*, gdyż cały rocznik będzie wartał kilkanaście koron. Rozwiązania może Pan i dalej posyłać, gdyż każdy prenumerator ma to prawo, choćby nie jedną, ale i więcej nagród w ciągu roku dostał. Zagadka dobra, ale szarady nie całkiem. — Kazimierz Suchodolski w H.: Zagadka już dawno znana. — Jan Cieśla w B.: Za szarady dziękujemy — dobre. — Stanisław Winkowski w P.: Humor dobry. Szarada ze względu na błędny podział słowa Chrzan - ów — nie! — Jadzia Ogniewska w K. g.: Czemu tak rzadko? Prosimy częściej się odezwać. Szarada dobra, a jaka miła!... — Wojciech Goryl w S.: Wiadomość o wykrytej kradzieży za mało interesująca — druga wiadomość w kronice. Dziękujemy. — Michał Świętojański w P.: Wysyłamy, lecz prosimy o prenumeratę. — Rafał Czech w Chicago: Wysłaliśmy. Do końca roku należałby się nam jeszcze dolar. Życzymy dobrego powodzenia. — Aniela Muchówna w Ż.: Numera od Nowego Roku wysłaliśmy. Pozdrowienia znajomym z prośbą o jakie wiadomości. — Jan Kasza w N.: Za pośrednictwo dziękujemy. Dla Czytelników *Roli* sąsiedzkie pozdrowienia. Trzebaby z drugiego końca wsi sąsiadów poruszać. — Jędrzej Goleniec w L. p.: Umiemy być wdzięczni. — Emilia Tatarówna w U.: Numera od Nowego Roku według podanego adresu wysłaliśmy i nadal będziemy posyłać. Dziękujemy. — Szymon Filar w K.: Niektóre zmiany były konieczne. Dziękujemy i prosimy o pamięć. — Wawrzyniec Kutaga w N.: Udaliśmy się natychmiast do Dyrekcyi policyi, ale, niestety, bez skutku. Trzeba w tej sprawie odnieść się do konsulatu. Reszta listownie.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Franciszek Ślęzak z K. (4 K.), Jędrzej Rak z H (4 K.), Michał Urbański z H. (2 K.), Wacław Tomaszewski z P. (1 K,), Aniela Muchówna z Ż. (4·30 K.), Stanisław Winkowski z P. (2 K.), Wawrzyniec Kutaga z N. (4 K.), B. Czekajski z R. (4 K.), Jakób Kawa z S. (3 K.), Jan Kozak z S. (1 K.), Rudolf Suchodolski z Bośni (4 K.), Marcin Byczek z Altranstadt (2 K.), Jan Kozień z M. (4 K.), Franciszek Kaliński z T. (1 K.), Jędrzej Goleniec z L. g. (2 K.), Antoni Kowalczyk z K. (4 K.), Emilia Tatarówna z U. (2 K.). Jan Hyliński z Blumenthal (3 K.), Jan Rożek z B. (3 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 12 kwietnia:

Buhaje	Kor. 150	do 245	za sztukę	
Woły z paszy	„ 210	„ 290	„	
Krowy	„ 105	„ 275	„	
Jałówki	„ 45	„ 180	„	
Cielęta	„ 21	„ 64	„	
Swinie	„ 165	„ 185	za 50 kg.	

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 12 kwietnia:

Pszenica	Kor. 13·20	do 13·60	za 50 kg.
Żyto	„ 8·50	„ 8·90	„
Jęczmień	„ 7·30	„ 7·60	„
Owies	„ 8·10	„ 8·20	„
Otręby pszenne i żytnie	„ 5·50	„ 5·60	„

RACYA.

Kapral. Dlaczego szabla jest krzywa?

Ułan. Bo gdyby była prosta, nie mogłaby wleźć do pochwy.

SZCZERA ODPOWIEDŹ.

— Czy to prawda mężusiu, że jestem jedyną twą myślą?

— A jakże i tej myśli nie mogę się już pozbyć!

ODDANE.

Obcy. Podobno tu w waszej wsi strasznie głupi ludzie!

Miejscowy. A co najważniejsze, że nikt mądry nie przybywa.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.